

Czarna owieczka

Jan Grabowski

Po drugiej stronie ulicy, nieco w lewo od naszej furtki, stał domek w ogrodzie. Nie był ani brzydki, ani ładny. Jak to się działo, że prawie zawsze stał on pustkami – trudno było dociec. Tak się jakoś dziwnie składało, że kto tylko zamieszkał w tym domu, najwyżej po pół roku wynosił się z naszego miasteczka. Jedynym stałym lokatorem zawsze opustoszałego domu był pan Popiołek. Listonosz. Zajmował on dwa maciupęńkie pokoiki, był wdowcem i miał dwie córki, bliźniaczki. Zosię i Wisię. Dziewczynki były tak podobne do siebie, że ja odróżniałem je tylko po kolorze wstążek, jakie nosiły w cienkich warkoczykach. Obydwie przypominały małe kociaki o popielatej sierści, odzywały się rzadko, a zawsze razem, były poważne, uroczyste i na czerwonej wstążce wodziły po ulicach czarną owieczkę, którą nazywały Perełką.



Perełka małych Popiołeczek to miał być cud mądrości i przywiązania. Tak przynajmniej zgodnie zapewniały obydwie siostry. Muszę przyznać, że czarna owca chodziła za dziewczuszkami krok w krok i pobekiwała, gdy się na nią wołało po imieniu. Poza tym była owcą i tylko owcą. A jej oczy spoglądały na świat ospale i łzawo.

I to, tak mi się przynajmniej zdaje, najbardziej się małym Popiołkom u ich owieczki podobało.

- Taka jest cicha! – zachwyciła się Zosia.

- I taka łagodna! – odpowiadała natychmiast Wisia.

Ano, dobrze! Popiołki i ich cicha owieczka kochały się bardzo, czegoż więcej potrzeba? Przez jakiś czas dziewczynki nie pokazywały się ze swoją Perełką na ulicy. Podobno owieczka była chora. Aż tu nagle pewnego popołudnia Popiołki wpadają do mojego ogródka. Buzie zapłakane, oczy pełne łez, a brody tak im się trzęsą, że słowa powiedzieć nie mogą.

- Co się wam stało! – pytam.

- Ach! – jęknęła Wisia.

- Takie nieszczęście! – zawtórowała jej Zosia.

I obie w bek!

Uspokajam je, jak umiem. Dałem po karmelku. Nic. Dałem po drugim – nie pomaga.

Dopiero przy wiśniowych konfiturach dowiedziałem się coś niecoś.

Perełka nie żyła.

- Ha, moje dziewczuszki – powiadam. Na to już nic poradzić nie można!

- A co będzie z Metką? – pyta mnie Wisia i znów w płacz.

- Tak, co z Metką? – powtarza Zosia przez łzy.

- Jaką znów Metką? – dziwię się, bo o żadnej Metce nie słyszałem jako żywo.

Okazało się, że Perełka miała córkę, że tę córkę, tak czarną jak i jej matka, dziewczuszki nazwały już Metką, że ta właśnie Metka ma dopiero trzy dni,

o karmieniu jej smoczkiem nie ma mowy i że wobec tego jest tak prawie, jakby już było po Metce! Myślę, co by tu poradzić małym, splakany Popiołeczkom.

Nagle przypomina mi się Wierna. Powiadam więc:

- Dawajcie swoją sierotkę! Wierna jest poczciwa, zacna psina. Właśnie karmi syna. Może waszą Metkę przyjmie do swojej rodziny. Spróbujemy!

Małe Popiołki postawiły na mnie zdumione oczy.

- Nasza Metka z psami? – zdziwiła się Wisia urażona.

- W psiej budzie? – powtórzyła Zosia i wzruszyła ramionami.

- Albo w psiej budzie, albo nic wam poradzić nie mogę – ucinam krótko. – A cóż to wasza Metka za cudo, że nie może być przybraną córką mojej Wiernej? Daj Boże każdemu człowiekowi takie złote serce, jak ma moja suczyna.

Popiołki popatrzyły na siebie, pomyślały. I bez słowa pobiegły do domu.

Po chwili wróciły.

- Jest – powiada Wisia i rozchyła kawał starego kozucha, żeby mi pokazać jagnię.

- Ten kozuch to wyprawka Metki – objaśnia mnie Zosia.

- Żeby jej było ciepło w budzie – dopowiada Wisia.

Idziemy z Metką do budy. Wołam Wierną. Wyszła. Patrzy mi w oczy serdecznie, ale macha pospiesznie ogonem.

- Jeśli masz do mnie jakąś ważną sprawę, to mów prędzej – powiada. –

Wiesz, że mam malca w budzie. Nie mogę go ani przez chwilę zostawić bez opieki. Położyłem przed Wierną na ziemi Metkę w kozuchu. Była tak słaba, że nie mogła się utrzymać na nogach.

- Wiernusia, to nasz, nasz! – mówię do suki.

„Któż by się nie ulitował nad takim niemocnym robakiem!” – odpowiedziały mi jej pocziwe oczy. Wzięła Metkę ostrożnie za kark i zabrała ze sobą do budy. Popiołki oniemiały ze zdziwienia. Gdy się ocknęły, gwałtem się pchały do budy z kozuchem.

- Nie wtrącajcie się. Najwidoczniej nic Wiernej po kozuchu. Już ona najlepiej wie, jak ma wychować swoją przybraną córkę. Popiołki powstały przed budą z kozuchem w rękach, powstały i poszły. Ale odtąd co dnia po kilka razy zjawiały się na podwórzu. Przynosiły jakiś poczęstunek dla Wiernej. Kładły go bez słowa do miski. I kucaly przed budą. Zaglądały. Ale Metki nie było widać. W budzie było ciemno, Metka była czarna, nie wytykała nosa na świat. Wyglądał tylko czasem z budy kasztanowy syn Wiernej podobny do pluszowego niedźwiadka. Nazwały go też Popiołki Misiem. I tak już zostało.

Ale i Misiowi nie chciało się wychodzić z budy. Bo świat tymi czasy wcale nie był ciekawy. Deszcz lał bez przerwy, a ziąb był przejmujący, jak to często bywa wczesną wiosną. Aż tu któregoś dnia wyjrzało słońce. Popiołki były właśnie przy budzie. I nagle słyszę ich świergot:

- Jest! Jest! Nasza Metka! Nasza Metka! Patrzą – przez wysoki próg budy ciężko przetacza się Miś. Wszedł, usiadł, ziewnął i kichnął. Za psem skoczyła Metka. Stanęła przed budą, otrząsnęła się, beknęła i... Przetarłem aż oczy ze zdumienia! Wyobraźcie sobie, siadła na ziemi zupełnie po psiemu!

Miś ruszył na wycieczkę po podwórzu. Metka za nim. Zatrzymywała się, kiedy on przysiadł, puszczała się galopkiem, gdy Miś bez widocznego powodu wyrwał naprzód. Miś wpadł do kałuży. Metka dreptała po wodzie. Miś zmoczony płakał, płakała i Metka, choć się wcale nie zamoczyła! Popiołkom się to wszystko nie bardzo podobało. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że zakazałem brać na ręce i Misia, i Metkę. Co mi to szkodziło? Mnie nic. Ale łatwo mogło zaszkodzić malcom. Kruche są przecież takie maleństwa. Byle niezręcznym ruchem można okaleczyć takiego baka na całe życie. A zresztą zwierzę – to nie jest zabawka dla ludzi, prawda?

Tłumaczyłem to Popiołkom, Najwidoczniej jednak moje słowa nie trafiły im do przekonania. Obraziły się. I przestały się pokazywać na podwórzu. A później wyjechały do ciotki na wieś. Byłem z tego rad. Dlaczego? Jak by wam to powiedzieć? Coraz bardziej się przekonywałem, że ich Metka ani trochę nie jest podobna do swojej matki Perełki. Że nie jest ani cicha, ani łagodna. Jednym

słowem, nic nie ma w sobie z owieczki, tej słodkiej owieczki, jakiej po swojej Metce spodziewały się Popiołki. Metka spsiała.

Jak to spsiała, spytacie? Ano zwyczajnie, stała się psem. Jak Wierna i jak Miś. Metka robiła to wszystko, co robił Miś. Miś gonił kury, Metka goniła kury. Miś brał lanie od koguta, Metka obrywała cięgi od tego samego Bielasa. Miś sprzeczał się z kaczkami, Metka odpędzała je od jadła. Miś skakał do wróbli, Metka łapała motyle. Spali razem w budzie, razem wychodzili na wyprawy do ogrodu i nad sadzawkę. Gonili się po podwórzu, upędzali dokoła słupa. Ba! Jednakowo zmykali przed trzepaczką w karzącej dłoni ciotki Katarzyny!

Jedno tylko ich dzieliło – jedzenie. Metka wsadzała wprawdzie nos do psiej miski, ale kaszy jeść nie mogła. Za to Miś robił wielkie oczy, kiedy Metka szczypała trawę albo skubała siano. Nadziwić się nie mógł, co też przychodzi do głowy jego Metce, że je takie obrzydliwości! Kupiłem kiedyś Metce owczy przysmak – bryłę soli. Włożyłem do siatki i uwiesiłem u słupa. Takiego wiatraka z języka, jaki zrobiła Metka wylizując sól, na pewnoście nie widzieli. Zobaczył to Miś. Warknął, szczeknął, odpędził Metkę i rzucił się z zębami do soli. I jak parsknie! Zaczął kichać, prychać, wycierać język w trawę! Odtąd z pogardą patrzył na siatkę i na Metkę liżącą sól.

- Zakazane gusta! – krzywił się i odchodził jak najdalej od słupa.

Nie myślcie jednak, że Metka miała zawsze zakazane gusta. Wałęsała się u nas po podwórzu kość, gnat tak wylizany do czysta, że nawet śladu zapachu kości w nim nie zostało. Była to psia zabawka. Każde szczenię pogryzało ją z nudów, gdy nic ciekawego nie działo się na podwórzu. I o tę zabawkę właśnie pobili się Miś z Metką! I to tak solidnie, że Miś postępując zawlókł się do budy, a Metka z kością w zębach biegała po podwórzu.

Odtąd nie dziwiłem się wcale, że Metka wybiegała z Misiem do furtki i obszczekiwała obcych. Jak to obszczekiwała? Ano, darła się basem jak trąba! Krysia nauczyła Misia służyć, Metka chodziła na dwu „łapach” jak baletnica. Prosiła też przednimi nogami o wiele zgrabniej i staranniej, niż to robił Miś, który zresztą był w ogóle leń i nic mu się nigdy nie chciało robić porządnie.

Minęło lato. Popiołki powróciły od ciotki. I tego samego dnia przyszły zobaczyć, co się dzieje z ich Metką. Otworzyły furtkę, stanęły. Zobaczył je Miś. Wypadł do nich z wrzaskiem. Za nim Metka. Obskakują biedne dziewczynki, które nie śmia się ruszyć z miejsca. A miny mają niezupełnie uśmiechnięte. Wyszedłem na hałas, dałem każdej z nich do ręki kawałek soli.

- Przywitajcie się z Metką! – powiadam.

Metka poczuła sól. I staje najpiękniejszego słupka, prosi, macha łapkami.

Popiołki w śmiech!

- Zupełnie jak pies! Zupełnie jak pies! – śmieją się. Ale nagle Zosia poważnieje i mówi:

- Ale już nasza Metka nie będzie taka, jak jej matka! A na to Wisia:

- Taka czuła i smutna jak prawdziwa owieczka!

- Więc co? – powiadam. – Czyż przez to będziecie ją mniej kochały?

Zosia pomyślała chwilę.

- Trzeba każdemu pozwolić być tym, czym jest! – szepnęła.

- I kochać go takim, jakim jest! – dopowiedziała Wisia.

Mądre i kochane były te małe Popiołeczki, prawda?

I tego samego dnia Metka powędrowała na nowe mieszkanie.

